

W/2369

sytuacji, a był to już rok 1954-ty, spotkałem znajomego, który tu z Anglii, od którego dowiedziałem się, że można uzyskać zajęcie w Yorku w Clearing House (bank rozrachunkowy dla czeków). Na drugi podanie i zostałem przyjęty.

W ciągu trzech lat zachorowałem odzwierzy i mnie powierzono jego obowiązki w mundurze policjanta pełniąc tę funkcję do 1-go czerwca 1971-go do czasu przejścia na emeryturę.

W Ameryce zaaklimatyzowałem się naturalnie, prowadząc normalne życie obywatelskie. W 1956-ym roku wstąpiłem w związek małżeński z panną polską, Walerią Bielicką, urodzoną w Ameryce. Oboje trzykrotnie przejeżdżaliśmy w Polsce, wyjeżdżaliśmy na Florydę i do innych miejsc rekreacji. Żona również pracowała, co nam pozwalało na wygodne życie. Operacje i choroby nie pozostawiły na mnie poważnych śladów. Waleria miała minimalne podwyższenie ciśnienia, co jednak nie miało żadnego wpływu na życie.

W naszym małżeństwie sprzyjało nam przez trzydzieści lat, aż Waleria chorowała, nie opuszczając łóżka w ciągu kilku miesięcy. Oddała ducha 12 grudnia 1986-go roku. Jej ciało zostało złożone na cmentarzu Amerykańskiej Częstochowie. W jeden miesiąc po jej śmierci przeżyłem jedną operację, na przepuchlinę, a w roku 1988-ym, już sam, pojedynczo odwiedziłem rodzinę w Polsce.

W wieku osiemdziesiąt-trzy lata, we względnie dobrym zdrowiu, żyję dzięki Bogu, Kościołowi i rodzinie, wspomagając wedle możliwości sprawy patriotyczne, charytatywne, społeczne i polskie, co mi daje zadowolenie z wykonywania dobrze spełnionych ludzkich obowiązków.

Stanisław Niski



Stanisław Niski

12 Grove Place  
Bayonne N.J. 07002  
USA

... poznaję, że z tego obozu wyginął kwiat naszych oficerów. My zaś  
... głód, aż nadszedł czas kiedy generał Sikoraki zawarł układ  
... organizacji wojska polskiego na terenie Rosji i wówczas otrzymaliśmy  
... . Bog nas uratował, bo już myśleliśmy, że pomierzymy z głodem.  
... lskiej komisji wojskowej, wszyscy entuzjastycznie zaciągaliśmy  
... na nowo stanąć do walki o wolność Ojczyzny.

... laka wyjechaliśmy do miejscowości Trockoje gdzie zostaliśmy  
... namiotach, a temperatura mrozu dochodziła do -65-ciu stopni Celsjusza.  
... kurach i bez koców, życie tam było nie do zniesienia - gorsze niż  
... na polskim terenie ubierałem się w długie kalesony, zamiast spodni,  
... a szmatami.

... generała Sikorakiego wyzwoliła nas z tej gehenny. Generał inter-  
... na, który polecił przenieść nas do Uzbekistanu, gdzie gorączka i nagła  
... ała się nam we znaki. Wycieńczeni ludzie, bez dostatecznego wyży-  
... i na kurzą ślepotę i dyzenterię. Wiele osób umarło.

... eniając miejsce pobytu, teraz dostaliśmy radosną wiadomość, że  
... raji. Najpierw na stacje kolejową, do wagonów i tak dostaliśmy  
... ka nad Morzem Kaspijskim. Stamtąd podróż okrętem i wyładowaliśmy  
... po krótkim pobycie w Persji przenieśliśmy się do Iraku, w pobliżu  
... kuk. Tam, na pustyni, zamieszkaliśmy w namiotach.

... rowaniu 5-ej Dywizji i 5-go batalionu saperów, ja dostałem przydział  
... . Zostaliśmy zaopatrzeni w uzbrojenie i sprzęt saperacki, z którym  
... ę zapoznawać. Na wyższy kurs wyjechaliśmy do Egiptu, w pobliżu  
... , do angielskiego oddziału saperów na naukę budowy mostów pontonowych.  
... imy się z minami różnego kalibru i różnych krajów. Z Kirkuku  
... ę do miejscowości Gaza w Palestynie.

... echaliśmy całą 6-tą kompanią na specjalne górskie ćwiczenia do  
... racie do Palestyny, ruszyliśmy do Port Said w Egypcie, załadowaliśmy  
... popłynęliśmy do Włoch. Ładowaliśmy w porcie Taranto w dniu 18-go  
... roku. Stamtąd ruszyliśmy wzdłuż Adriatyku do linii frontu, gdzie  
... stały angielskie. Wojna rozpoczęła się dla nas nanowo.

... wojna przynosi uciążliwe i niebezpieczne zadania. Ilekroć to miesiący  
... skalizacji min na polach i drogach ostrzeliwanych przez Niemców,  
... i nocy... Iluż z nas zginęło... Unieszkodliwianie min zawsze  
... na utratę życia.

... w 1929ym roku, zostałem mianowany kapralem.

Podczas rezerwy, do roku 1939-go, zostałem dwa razy powołany na przeszkolenie:  
raz na cztery tygodnie, a drugi raz na sześć tygodni.

W latach międzywojennych pracowałem w warsztatach mechanicznych Cukrowni  
Krasiniec przy remoncie maszyn, pomp i innych sprzętów fabrycznych. W godzinach  
wieczornych grałem na kornecie w orkiestrze Ochotniczej Straży Pożarnej. Ojciec  
również grał na trąbce (kornecie), a brat Tadeusz na flecie.

W lipcu, 1933-go roku, wstąpiłem w związek małżeński ze Stefanią Kamińską.  
Nasze szczęśliwe pojęcie małżeńskie zakończyło się jednak w marcu, 1935-go roku,  
kiedy żona urodziła syna. Poród był bardzo ciężki, skomplikowany zakażeniem.  
Bez pomocy penicyliny czy innych anty-biotyków, musiała zakończyć życie, mając  
lat 28. Przed samą śmiercią, w okresie przytomności, prosiła mnie bym synkowi dał  
na imię Andrzej, co też uczyniłem. Było to dla mnie okropne przeżycie osobiste.  
Ale to nie koniec nieszczęścia, bo w cztery miesiące po jej śmierci, akurat w drugą  
rocznicę naszego ślubu, mój ukochany synek, Jedrus, zapadł w chorobę i po krótkich  
cierpieniach opuścił ten świat. Myślałem, że nie przeboleję tej straty. Jedynie  
wiara w Boga utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach i pogodzeniu się z Jego wolą.

Nadszedł rok 1939-ty. W sierpniu, aktem mobilizacyjnym, dostałem rozkaz  
stawienia się do pułku, który kwaterował w Baranowiczach (niestety, nie pamiętam  
nazwy tego pułku). Zostałem przydzielony do plutonu pionierów i po otrzymaniu  
umundurowania i uzbrojenia, wyjechaliśmy na front pod Częstochowę.

W pobliżu naszego obozu znajdował się duży las. Dowódca plutonu polecił mi  
wybrać dwóch pionierów i udać się do pobliskiej wsi, by tam zebrać mieszkańców  
z piłami i siekierami, powalić drzewa i zabarykadować wszystkie drogi wiodące do  
lasu.

Gdy wszedłem do jednej chaty, gospodyni poufnie ostrzegła mnie, żeby się  
pilnować, bo wielu z gospodarzy jest niemieckiego pochodzenia. Podziękowałem jej  
i ostrzegłem swoich żołnierzy. Rozkaz wykonaliśmy, waląc wiele drzew i pokrywając  
nimi leśną drogę.

Niemcy zaczęli ostrzeliwać nas bronią pancerną, co zmusiło nas do wycofania  
się w głąb lasu, w kierunku Piotrkowa. Nieprzyjaciel, nie mając łatwego zadania  
posuwania się w poscigu za nami, zezwolił nam na przemarsz do Łodzi, a stamtąd do  
Warszawy.

Stolica była już przesycona wojakami, więc władze poleciły nam kontynuować nasz marsz na wschód. Dochodząc do Kowla, a było to już 17-go września, skonstatowaliśmy, że moc naszego wojska naszeruje od Kowla na zachód. Wówczas dowiedzieliśmy się, że bolszewicy przekroczyli naszą granicę i posuwają się w głąb Polaki, głosząc, że idą nam w pomoc. Oczywiście, wojsko polskie nie dało temu wiary.

Cofając się teraz w kierunku Lublina, spotkaliśmy się z niebezpieczeństwem nie tylko ze strony Niemców i bolszewików, ale i ze strony Ukraińców, którzy atakowali nas strzelając z zasadzek. Ukraińców jednakże szybko likwidowaliśmy.

Już w pobliżu Lublina, 19-go października rano, nadjechał ku nam rotmistrz kawalerii z ubraniami, zrobił odprawę z oficerami i podoficerami, poradził bronić się, a samym udać się w kierunku Puszczy Białowiejskiej. Podzieliliśmy się więc na grupki i ruszyliśmy w kierunku na północ.

Zmęczeni i wygłodniali, doszliśmy do miejscowości Luterakie Piaski. Tam zobaczyliśmy tor kolejowy, a na nim wagony towarowe. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy coś do zjedzenia. Jeszcze nie doszliśmy do wagonów, a tuż wykosyili rosyjscy żołnierze z wycelowanymi karabinami w naszą stronę, krzywiąc "ruki wierch". Podnieśliśmy ręce do góry, a oni poczuli nas rewidować i zabierać zegarki, brzytwy, noże i ocołwiek posiadaliśmy. Mając zegarek kieszonkowy, marki Cyma, wpuściłem go do nogawicy, a że byłem w butach z cholewami, uratowałem zegarek i mam go do tej pory. Zabrali mi tylko brzytwę i scyzoryk.

Stamtąd zapędzili nas do lasu, na dużą polanę, gdzie zobaczyliśmy nie tylko naszą żołnierzów, ale i policjantów, strażaków i leśniczych w mundurach.

Później popędzili nas do Hełma i ulokowali naszą grupę w koszarach obstawionych dokoła wartą. Na drugi dzień załadowali nas do towarowych wagonów i pociąg ruszył w kierunku Rosji. Z Rosji przywieźli nas zpowrotem do Polaki i tak zawieszonych głodnych i brudnych wozili nas przez dwa tygodnie, aż w końcu wysadzili nas na stacji Ożydów, gdzie czekały już na nas ciężarówki, którymi ruszyli do Oleska, do zamku króla Jana Sobieskiego. Stamtąd też jeździliśmy codziennie na stację Ożydów gdzie z wagonów wyładowywaliśmy kamienie. Potem młotkami tłukliśmy te kamienie na drobna, z których w ostatniej fazie budowaliśmy czołg od Przemyśla do Lwowa, a ze Lwowa do Rosji.

Mój ostatni obóz jeniecki na polskim terenie znajdował się o pięć kilometrów drogi od Przemyśla. Byliśmy podzieleni na brygady po 25 osób. Ja należałem do 5-ej brygady, w której jeniec polski, Pienkowski, pochodzący z pod Siedlec, był brygadierem. Pienkowski doskonale posługiwał się językiem rosyjskim. Z tego odcinka codziennie naszerowaliśmy do Przemyśla gdzie naprawialiśmy albo budowaliśmy

nowe ulice.

O rozpoczęciu niemieckich działań wojennych dowiedzieliśmy się jednego dnia w czerwcu 1941-go roku, kiedy niemieckie pociągi artyleryjskie zaczęły przelatywać nad naszym obozem, uderzając w umocnienia rosyjskie na wzgórzu. Naczelnik obozu nazywał się Pietuch, który nawet wtedy nie wierzył, że to wojna. Mówił, że Niemcy i Rosja żyją "ręka w rękę".

Tego dnia też ukazały się nad nami samoloty niemieckie, z których załoga machała do nas białymi chustkami. Na ten widok zaczęliśmy śpiewać Jeszcze Polska Nie Zginęła. Mimo to, towarzysze Pietuch otworzył bramę i wrzasnął, "Dawaj naprzód". Niedošliśmy jeszcze do szosy, a tu Rosjanie pędzą do nas na koniach. Usłyszawszy od bojca, który szedł na przódzie, że idziemy do Przemysła, oficer rosyjski krzyknął, że "chyba zdurnieli i o wojnie nie wiedzą". Dał wtedy rozkaz bojcowi do powrotu do obozu.

Widząc nas w bramie ze śpiewem na ustach, Pietuch zapytuje bojca o przyczynę powrotu, a na to bojca: "Co, ty nie wiesz, że wojna?" A my zaczęliśmy przedrzeźniać po rosyjsku: "Da, da, my z germanem ręka w ruku." Pietuch zbladł i poleciał do telefonu.

Wkrótce nadeszło pięć samochodów ciężarowych, na które załadowało się pięć brygad i zawieźli nas do obozu w Mościskach. Kierowcy odjechali po następne pięć brygad, ale już nie mogli dojechać do miejsca, bo Niemcy atakowali obóz. Powrócili więc do Mościsk, kazali nam znowu wsiadać i tym razem powieźli nas do Gródka Jagiellońskiego. Tam, około tysiąca naszych żołnierzy zajętych było budowaniem lotniaka. Tam też spotkałem mojego przyjaciela, Mariana Miętkiewicza, z mojej rodzinnej osady, którego znałem kiedy on jeszcze był dzieckiem, a ja już starszym chłopcem.

Po jakimś czasie ustawili nas wszystkich w ésemki, otoczyli całą grupę żołnierzami i tak rozpoczął się nasz marsz w kierunku Rosji. Miętkiewicz był ogromnie uradowany spotkaniem ze starym przyjacielem, tym bardziej, że chorował na nerki i ja stałem się dla niego wielką pomocą w tej uciążliwej wędrówce.

Niestety, nasz dobry brygadier, pan Pienkowski, nie wytrzymał tego marszu. Chorował na astmę i chociaż koledzy prowadzili go pod pachy, ostatecznie siły go opuściły, piana mu wyszła na usta i usiadł w rowie. To widząc, dowódca pochodu przywołał żołnierza i dał mu rozkaz wykonania Pienkowskiego. Przechodzący od tyłu jeńcy widzieli jak żołnierz pchnął go bagnietem i tak w rowie zostawił.

Przekraczając rzekę Dniestr, doszliśmy do miejscowości gdzie była stacja kolejowa. Tam dopiero dostaliśmy trochę żywności. Znowu wpędzili nas jak bydło do wagonów. Nie mając świadomości czasu, w okropnych warunkach higienicznych,

z okruszyną chleba i znikomą ilością wody dojechalśmy do obozu w Starobielaku, Dowiedzieliśmy się później, że z tego obozu wyginął kwiat naszych oficerów. My zaś cierpieliśmy tam ogromny głód, aż nadszedł czas kiedy generał Sikoraki zawarł układ ze Stalinem o organizacji wojska polskiego na terenie Rosji i wówczas otrzymaliśmy trochę więcej chleba. Bóg nas uratował, bo już myśleliśmy, że pomieramy z głodu. Po przyjeździe polskiej komisji wojskowej, wszyscy entuzjastycznie zaciągnęliśmy się do służby, by na nowo stanąć do walki o wolność Ojczyzny.

Ze Starobielaka wyjechalśmy do miejscowości Trockoje gdzie zostaliśmy zakwaterowani w namiotach, a temperatura mrozu dochodziła do -65-ciu stopni Celsjusza. W lichutkich mundurach i bez kocioł, życie tam było nie do zniesienia - gorsze niż kiedy o obozach na polskim terenie ubierałem się w długie kalesony, zamiast spodni, a stopy okręcałem szmatami.

Wizytacja generała Sikorakiego wyzwoliła nas z tej gehenny. Generał interweniował u Stalina, który polecił przenieść nas do Uzbekistanu, gdzie gorączka i nagła zmiana klimatu dała się nam we znaki. Wycieńczeni ludzie, bez dostatecznego wyżywienia, chorowali na kurzą ślepotę i dyzenterię. Wiele osób umarło.

Często zmieniając miejsce pobytu, teraz dostaliśmy radosną wiadomość, że wyjeżdżamy do Persji. Najpierw na stacje kolejową, do wagonów i tak dostaliśmy się do Krasnowocka nad Morzem Kaspijskim. Stamtąd podróż okrętem i wyładowaliśmy w Pachlewie. Po krótkim pobycie w Persji przenieśliśmy się do Iraku, w pobliżu miejscowości Kirkuk. Tam, na pustyni, zamieszkaliśmy w namiotach.

Po zorganizowaniu 5-ej Dywizji i 5-go batalionu saperów, ja dostałem przydział do 6-ej kompanii. Zostaliśmy zaopatrzeni w uzbrojenie i sprzęt saperaki, z którym rozpoczęliśmy się zapoznawać. Na wyższy kurs wyjechalśmy do Egiptu, w pobliżu Kanału Sueskiego, do angielskiego oddziału saperów na naukę budowy mostów pontonowych. Tam też zapoznaliśmy się z minami różnego kalibru i różnych krajów. Z Kirkuku przenieśliśmy się do miejscowości Gaza w Palestynie.

Z Gazy pojechalśmy całą 6-tą kompanią na specjalne górskie ćwiczenia do Libanu. Po powrocie do Palestyny, ruszyliśmy do Port Said w Egypcie, załadowaliśmy się na okręty i popłynęliśmy do Włoch. Ładowaliśmy w porcie Taranto w dniu 18-go lutego 1943-go roku. Stamtąd ruszyliśmy wzdłuż Adriatyku do linii frontu, gdzie zmieniliśmy oddziały angielskie. Wojna rozpoczęła się dla nas nanowo.

Dla sapera wojna przynosi uciążliwe i niebezpieczne zadania. Ileż to miesięcy spędziliśmy na lokalizacji min na polach i drogach ostrzeliwanych przez Niemców, zwykle pod osłoną nocy... Iluż z nas zginęło... Unieszkodliwianie min zawsze narażało sapera na utratę życia.

Przed atakiem Drugiego Korpusu na Monte Cassino, mój dowódca wysłał mnie i moją zastępcę drużyny, kaprala Karpińskiego, na kurs miotaczy ognia do oddziału amerykańskiego stojącego pod Neapolem. Za tłumacza służył nam sierżant armii amerykańskiej, Lewandowski, pochodzący z Chicago. W ciągu trzech dni zapoznaliśmy się z miotaczami i nauczyliśmy się jak przygotować mieszankę dla tych groźnych aparatów wojny.

Po powrocie z kursu, moim zadaniem jako plutonowego drużyny i kaprala Karpińskiego, było przygotowanie innych żołnierzy Piątej Dywizji do operowania miotaczami w akcji bojowej. Podczas ataku na Monte Cassino broń ta okazała się bardzo skuteczna, a zarazem okrutna.

We Philadelphii znajduje się mój uczeń, kapral Czesław Luba, który otrzymał Krzyż Virtuti Militari za wykurzenie Niemców z bunkrów przy użyciu miotaczy ognia w Bitwie o Monte Cassino. Ja zostałem udekorowany Krzyżem Zasługi z Mieczami. Posiadam również Krzyż Walecznych, Krzyż za Monte Cassino, medal za wojnę i trzy odznaczenia angielskie.

Wojna zakończyła się w maju, 1945-go roku. Politycznie, dla nas Polaków żołnierzy walczących u boku Aliantów, nie była to wojna wygrana.

Po zakończeniu działań wojennych, 6-ta kompania dostała rozkaz wyjazdu do bazy amerykańskiej obok Neapolu, na przeszkolenie budowy nowych mostów pontonowych. W panującym teras rozgardiaszu - jeden wraca do Polaki, drugi nie - przyszedł do mnie dowódca plutonu technicznego i oznajmił, że z mojej drużyny G.M.C. wóz ciężarowy wraz z kierowcą nie uda się do Neapolu, ponieważ odchodzi do Polaki, a szofer, który był naszym kierowcą podczas wojny, postanowił wrócić do Polaki. Wóz zaś musi być wyremontowany przed wyjazdem do Polaki. Wzamian przesnaczył nam wóz marki Forda i innego kierowcę, nazwiskiem Wojciechowski.

Przed wieczorem przyszedł do mnie Wojciechowski, wielce rozdrażniony i powiada, że trudno mu będzie kierować Fordem, ponieważ już oddawna nie służył jako szofer. Widząc jego stan psychiczny, wiedziałem, że ten żołnierz nie będzie zdolny jako kierowca na tak długą i niebezpieczną podróż. Poszedłem wtedy do porucznika i wykłuszczyłem sprawę, dodając, że na taką podróż, poprzez góry, w poprzek Włoch do Adriatyku, Wojciechowski jest psychologicznie nieprzygotowany. Porucznik odpowiedział, że innego kierowcy niema, Wojciechowskiemu dał rozkaz i tak musi być. Jadąc na południe po stronie Adriatyku, jakoś szczęśliwie dojechalismy do Neapolu. Tego jednak nie mogły powiedzieć o drodze powrotnej.

Po przeszkoleniu, jadąc na północ, dnia 19-go czerwca 1945-go roku, dojechalismy do Rzymu, gdzie w jedną noc przenocowalismy. Na drugi dzień wyruszyliśmy

w dalszą drogę. Siedząc obok kierowcy, patrząc gdzie w górach był zakręt na lewo, byłem w stanie podziwiać piękny widok pierwszych wozów, jak wepaniale posuwały się naprzód, w równych od siebie odległościach.

Naraz usłyszałem i odczułem jakieś uderzenie. Spojrzałem do przodu i zobaczyłem, że jedziemy w dół. Chwyliłem za ręczny hamulec, ale to już nie pomogło albowiem staczaliśmy się w przepaść. Niektórzy saperzy, widząc co się dzieje, wyskoczyli z wozu. Gdy nakoniec wóz uderzył w skałę, drzewa się otworzyły, a ja przez ten wstrząs zostałem wyrzucony nazewnątrz między skały i krzewy. Tam odnalazła mnie załoga ratunkowa w stanie nieprzytomnym. Włożyli mnie do koca i wynieśli na drogę, a stamtąd karetką do najbliższego cywilnego szpitala.

Kiedy przyjechał wojskowy doktor byłem przez nieprzytomny. Gdy się w końcu przebudziłem, usłyszałem jak doktor mówił do podchorążego, że prawdopodobnie mogą mieć wstrząs mózgu. W tym momencie ja się poruszyłem, a doktor przysunął się bliżej i odsłonił bandaż z jednego oka, zapytując czy widzę. Odpowiedziałem twierdząco, na jedno i drugie oko, a doktor powiedział: "Bogu dzięki. Myślałem, że utracił wzrok." Mając teraz oczy otwarte, stwierdziłem, że jeszcze czterech saperów leżało opodal, którzy, okazało się później, mieli mniejsze ode mnie obrażenia. Wtedy też dowiedziałem się od podchorążego, że kierowca Wojciechowski nie żyje. Ta wiadomość doprowadziła mnie do rzewnego płaczu.

W ciągu tygodniowego pobytu w tym szpitalu, cywilni lekarze ustalili, że miałem złamane ramię w lewym obojczyku, kontuzję głowy po lewej stronie, ranę nad lewym okiem i koło ucha, pobity nos i lewą stronę twarzy.

Po tygodniu zostałem przewieziony ambulansem do wojskowego szpitala w Anconie, gdzie przebywałem około czterech tygodni, a stamtąd zostałem odstawiony statkiem do szpitala wojskowego w Bari. Ogółem spędziłem trzy miesiące w szpitalach, a dodatkowe trzy miesiące na rekonwalescencji w domu dla uzdrowieńców. Podczas terapii w tym domu musiałem całymi dniami ginnastykować lewe ramię, gdyż przez długi czas nie mogłem nim widać ani podnosić do góry. Te codzienne ćwiczenia kosztowały mnie wiele bólu.

W czerwcu 1946-go roku zostaliśmy ewakuowani do Anglii. Tam rozpoczęliśmy pracę w różnych obozach, przygotowując budynki na przyjęcie rodzin z Niemczech, przybywających do naszych wojskowych, mężów i ojców. Później dowódca obozu przeznaczył mnie do pracy w szpitalu wojskowym gdzie byłem zatrudniony jako instalator-hydraulik, aż do czasu demobilizacji z wojska.

Wielu kolegów wybrało powrót do Polski. Między innymi odjechał saper z mojego plutonu w okolice Siedlec. Jemu to powierzyłem adres żony Pińkowskiego